

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

22

(Ciąg dalszy).

— Siedmiu, mnie nie licząc. Raz tylko dobra-
no robotników Włochów do roboty przy podziem-
nym korytarzu w Garches.

— Dwa takie były podziemne ganki, prawda?

— Tak, jeden prowadził do pawilonu Horten-
syi, drugi łączył się z tamtymi i wychodził pod
pawilonem pani Kesselbach.

— Do czego one miały służyć?

— Chciano porwać panią Kesselbach.

— A gdzie jest tych siedmiu twoich towarzy-
szy z bandy Altenheima?

Dominik zawahał się.

— Opuściłem ich... nie wiem... — bąknął.

Zaszczyt ci przynoszą twoje skrupuły, Domini-
ku, ale gadaj...

Lupin rozłożył dwa bilety po sto franków.

— Odnajdzie ich pan — mówił Dominik — na
ulicy de la Révolte Nr. 3 w Neuilly. Jeden z nich
nosi przezwisko Rupieciarza.

— Doskonale. A teraz, jak brzmi prawdziwe
nazwisko Altenheima?

— Ribeira.

— Dominiku, to się źle skończy. Ribeira, to
tylko przybrane nazwisko. Pytam się o prawdziwe.

— Parbury.

— To także przybtane.

Kelner wahał się. Lupin rozłożył trzy bilety
stufrankowe.

— A potem szła! — zawołał Dominik. — Osta-
tecznie on nie żyje... już naprawdę nie żyje!

— Więc jakże się nazywał?

— Nazywał się kawaler de Malreich.

Lupin aż skoczył na swoim krześle.

— Co? Coś ty powiedział? powtórz! Kawaler...

— Raul de Malreich.

Zapanowało milczenie. Z osłupiałym wzrokiem
Lupin myślał o obłąkanej z Veldenz, która umarła,
otruta. Izilda nosiła to samo nazwisko: Malreich.
I to samo nazwisko nosił mały szlachcic francuski,
który przybył na dwór książęcy w Veldenz w ośm-
nastym wieku.

— Jakiej narodowości był ten Malreich? — za-
pytał.

— Pochodzenia francuskiego, ale urodził się
w Niemczech... Raz wpadły mi w ręce papiery...
i stąd się dowiedziałem. Ach, gdyby on to był
wiedział, byłby mnie chyba zadusił!

Lupin po namyśle pytał dalej!

— To on dowodził wami wszystkimi?

— Tak, on.

— Ale on miał współnika; towarzysza?

— Ach, zamilcz pan... zamilcz pan...

Na twarzy kelnera malował się przejmujący
strach. Lupin wyczytał na niej ten sam strach
i wstręt, jaki odczuwał sam na myśl o mordercy.

— Kto to jest? Widziałeś go?

— O, nie mówmy o nim... o nim nie trzeba
mówić!...

— Kto to jest, pytam się ciebie!

— To pan... to wódz... nikt go nie zna.

— Ale tyś go widział. Odpowiadaj. Widzia-
łeś go?

— Czasami, w ciemnościach... nocą, nigdy za
białego dnia. Jego rozkazy dochodzą na karteczkach...
albo przez telefon.

— Jak on się nazywa?

— Tego nie wiem. Mały jest, szczupły... blon-
dyn...

— I zabija, nieprawdaż?...

— Tak, zabija... jak gdyby nigdy nic... spra-
wnie, cicho, gładko, tajemniczo...

Głos mu drżał. Szepnął błagalnie:

— Nie mówmy już o nim... mówię panu... to
przynosi nieszczęście.

Lupin umilkł; strach tego człowieka pomimo
woli robił na nim wrażenie.

Myślał dłuższą chwilę, wreszcie powstał i zwró-
cił się do kelnera:

— Oto masz pieniądze, ale jeżeli chcesz żyć
w spokoju, najmańdrzej zrobisz, jeżeli o naszym
spotkaniu nie pisniesz ani słowa.

Wyszedł z restauracji wraz z Dondeville'm
i milcząc szli wzdłuż ulicy. Nareszcie ujął towarzy-
sza pod ramię i rzekł:

— Słuchaj, mój drogi. Idź na dworzec Półno-
cny, zdążysz w sam czas na kuryer do Luksembur-
ga. Jedź do Veldenz. W ratuszu z łatwością po-
kaza ci metrykę kawalera de Malreich i dadzą ci

wyjaśnienie co do jego rodziny. Pojutrze, w sobotę,
będziesz z powrotem. Zejdziemy się w południe
w małej kawiarni na ulicy de la Révolte, nazywa
się ta restauracja Buffalo. Przyjdź w przebraniu
robotnika.

Zaraz nazajutrz od rana Lupin w przebraniu
prostego rzemieślnika rozpoczął poszukiwania swoje
w Neuilly na rue de la Révolte pod numerem 3.
Brama wjazdowa zamyka pierwsze podwórze, a w tem
podwórzu mieści się całe miasteczko, szereg pasaży
i warsztatów, rojących się ludnością rzemieślniczą,
kobietami, wyrostkami. W parę minut umiał sobie
zaskarbić sympatię odźwiernej, z którą przegawę-
dził z godzinę o najrozmaitszych przedmiotach.
Podczas tego zauważył przechodzących trzech ludzi,
których wygląd go zainteresował.

— To gruby zwierz — pomyślał — zdaleka
załatuje... po woni się to poznaje... Napozór po-
rządni ludzie! Ale wzrok dzikiego zwierza, który
wie, że nieprzyjaciół jest wszędzie i że każdy krok,
każda kępka trawy kryć może zasadzkę.

Poszukiwania swoje ciągnął dalej popołudniu
i w sobotę rano i upewnił się, że siedmiu współni-
ków Altenheima mieszkają wszyscy w tych zabu-
dowaniach. Czterech z pomiędzy nich trudniło się
handel starzyzny, dwaj rozsprzedają dzienników,
a siódmy handlem rupieci i stąd też nazywano go
Rupieciarzem.

Mijali się wzajemnie, jak gdyby się nie znali.
Jednakże Lupin przekouał się, że wieczorem schad-
zali się w rodzaju szopy w głębi podwórza, szopy,
w której Rupieciarz gromadził swoje towary, stare
żelazniwo, zardzewiałe rury od pieców i t. p... i za-
pewne też różne kradzione przedmioty.

— No — myślał — posuwa się sprawa... Za-
żądałem miesiąca czasu, a tu dwa tygodnie wystar-
czą. I miło mi, że zaczne od tych lotrzyków, któ-
rzy mi urządzili kąpiel w Sekwanie. Gourelu, mój
biedny stary, pomszczę cię nareszcie! A czas już
przecież!

W południe wszedł do restauracji Buffalo, gdzie
w małej, niskiej salce murarze i woźnice schodzili
się na obiad.

Ktoś przysiadł się do niego.

— Ach, to ty, Dondeville! Dobrze, ciekaw je-
stem. Wywiedziałeś się? Widziałeś metryki? Prę-
d-ko odpowiadaj!

— A więc to tak: ojciec i matka Altenheima
umarli zagranicą.

— Wiem.

— Zostawili troje dzieci.

— Troje?

— Tak. Najstarszy miałby dziś lat trzydzieści.
Nazywał się Raul de Malreich.

— To byłby nasz Altenheim. Dalej.

— Najmłodsze dziecko, to córka, Izilda. W re-
jestrze świeżym atramentem dopisak „zmarła“.

— Izilda... Izilda — powtórzył Lupin — tego
się domyślałem. Izilda była siostrą Altenheima...
Ale tamto, to trzecie dziecko, a raczej drugie?

— Syn. Miałby obecnie lat dwadzieścia sześć.

— Jego imię?

— Ludwik de Malreich.

Lupin drgnął.

— Ot co! Ludwik de Malreich... Litera L. M...
Morderca nazywa się Ludwik de Malreich... brat
Altenheima i Izildy. I zabił oboje, by wydać go
nie mogli...

— Czegóżby się mógł lękać ze strony Izildy?
Ona podobno była obłąkana?

— Obłąkana, to prawda, ale mogła pamiętać
niektóre szczegóły z dzieciństwa. Mogła poznać
brata, z którym się chowała... I to wspomnienie
przypląciła życiu.

— Obłąkana! — dodał — ale ci wszyscy lu-
dzie to szaleńcy. Matka wariatka... ojciec alkoholi-
k... Altenheim bydlę zwyrodniałe... Izilda bieda-
ctwo o pomieszanych zmysłach... A tamten, mor-
derca, to potwór z manią szaleńczą...

— Z manią szaleńczą, sądzisz mistrzu?

— Tak, to wariat, to maniak! Miewający prze-
błyki genialne, szatańską bystrość i intuicję, ale
okaz zwyrodniałej, szaleniec, jak cała ta rodzina.
Szaleńcy tylko mordują, zwłaszcza szaleńcy tacy,
jak on. Bo przecież.

Przerwał i twarz jego skurczyła się tak, że
Dondeville się zadziwił.

— Co się stało, mistrzu?

— Patrz.

III.

Wszedł mężczyzna jakiś, który zawiesił na koł-
ku kapelusz — kapelusz czarny z miękkiego filcu.

Usiadłszy przy małym stoliczku, przejrzał kartę,
zamówił jedzenie i czekał nieruchomo, sztywny, zło-
żywszy ręce na stole.

Lupin mógł się dokładnie przypatrzeć jego twa-
rzy.

Była to twarz szczupła i sucha, zupełnie bez
zarostu, o głębokich oczodolach, w głębi których
leżały oczy szare, koloru stali. Skóra, rozpięta na
kościach, jak pergamin, zdawała się tak twarda
i zbita, że żaden włos nie porosnąć na niej nie mógł.

I twarz tę powlekała grobowa martwota. Nie
ożywał jej żaden wyraz. Zdawało się, że pod tem
czołem, jak ze słoniowej kości, nie gnieździ się ża-
dna myśl. Bezręse powieki nie poruszały się wcale,
a oczy miały sztywność wzroku posagu.

Lupin gestem przyzywał służącego.

— Któż jest ten pan?

— To nasz klient. Przychodzi tu dwa albo trzy
razy w tygodniu.

— Wiesz pan, jak się nazywa?

— Ależ tak!... to pan Leon Massier.

— Ach! — szepnął Lupin wzruszony. — L.
M... te dwie litery... czyżby to był Ludwik Mal-
reich?

Lupin przyglądał się z chciwą ciekawością.

— Co on robi ten pan? — zapytał jeszcze.

— Doprawdy, nie umiem powiedzieć. To jakiś
dziwaczny jegomość... Jest zawsze sam... nie mówi
do nikogo... My tu nie wiemy nawet, jak brzmi je-
go głos... Palcem wskazuje na karcie, czego mu
potrzeba... Nie minie dwadzieścia minut, a już
zjadł, zapłacił, poszedł.

— I on tu przychodzi?

— Co cztery dni, co pięć dni... Rozmaicie.

— To on, to tylko on być może — powtarzał
w duchu Lupin — to Malreich... To te ręce, co
mordują... to ten mózg, co upaja się zapachem krwi...
To ten potwór... to ten wampir...

— A jednak, czyż to podobna? Lupin w końcu
tak przywykł uważać wroga swego za istotę zu-
pełnie fantastyczną, że nie mógł się z tem pogo-
dzić, że on chodzi, je i pije, jak pierwszy lepszy.

— Wyjdźmy już, Dondeville!

— Co panu jest, mistrzu? Tak pan pobladł?

— Muszę odetchnąć świeżem powietrzem. —
Pójdźmy!

Na ulicy odetchnął głęboko, otarł czoło z potu
i szepnął:

— Lepiej mi teraz. Tchu mi brakło.

I opanowawszy się, dodał:

— Zbliża się rozwiązanie. Od tyłu tygodni wal-
czę po ciemku z wrogiem niewidzialnym. A oto na-
gle los stawia go na mojej drodze! Teraz szanse
zrównane.

W jakie dziesięć minut później Leon Massier
wyszedł i oddalił się, nie uważając nawet, że ktoś
idzie za nim. Zapalił papierosa i palił, jedną rękę
założywszy w tył; szedł, jak gdyby spokojnie za-
żywał spaceru, słońca i świeżego powietrza, nie po-
dejrzewając, że ktoś śledzi.

Przeszedł poza roгатkę, spacerował wzdłuż for-
tyfikacji i wrócił znowu w te same strony.

Czy on też wejdzie do zabudowań pod nume-
rem 3? Lupin gorąco tego pragnął, bo miałby pe-
wny dowód współnictwa jego z bandą Altenheima;
ale on zawrócił i wszedł w ulicę Delaizement. Szedł
nią długo, aż doszedł do małego, odosobnionego pa-
wilonu, otoczonego ogródkiem.

Leon Massier zatrzymał się, dobył pęk kluczy
z kieszeni, otworzył najpierw furtkę, następnie drzwi
pawilonu i zniknął.

Lupin zbliżył się ostrożnie. Zauważył zaraz, że
nieruchomości ulicy de la Révolte przedłużały się
od tyłu aż do muru ogródka.

Podszedłszy bliżej zobaczył, że mur ten by-
bardzo wysoki i że szopa zbudowana w głębi ogród-
ka, dotykała tego muru.

Rozpatrzywszy się w miejscowości upewnił się,
że szopa ta przytyka do szopy, stojącej w tylnym
podwórzu numeru trzeciego, a będącej składem rze-
czy Rupieciarza.

— Nie myliłem się, rzekł Lupin — Leon Mas-
sier i Ludwik de Malreich, to jeden i ten sam.
Upraszcza się sytuacja.

— Tak — przytwardził Dondeville — za kilka
dni załatwi się już wszystko.

— Kto to wie! Ja zawsze miałem przecucie,
że ten potwór nieszczęście przyniesie!

Odtąd chodziło o to, by poznać sposób życia
Malreicha, by wiedzieć o czynach jego i ruchach.

Dziwaczne było to życie, jak świadczyli sąsie-
dzi, których Dondeville rozpytywał. Człowiek ten
mieszkał tam od kilku miesięcy zaledwie. Nie wi-
dywał i nie przyjmował nikogo. Nie miał służącego.